

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom I Obóz Gross-Rosen

**Zeszyt 4 Ostatnie transporty
z Pawliaka**

Na prawach rękopisu

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel.296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen**

Warszawa 1987

Zespół Redakcyjny :

Zofia Doboszyńska, Witold Kulisiewicz - kierownik redakcji,
Roman Olszyna, Andrzej Romanow. Feliks Sikora, Henryk Uchman -
sekretarz redakcji,



przy współpracy :

3834

Tadeusza Berny - Wrocław, Michała Czebłakowa, Haliny Dudowej,
Romana Gierka - Oborniki, Jadwigi Gromackiej, Romana Konarzewskiego
- Poznań, Stanisława Korby - Kielce, Jana Kosińskiego i Mieczysła-
wa Kwietnia- Lublin, Stanisławy Kozuchowskiej, Henryka Króla -
Jelenia Góra, Edmunda Nawry - Bydgoszcz, Alojzego Nowickiego -
Inowrocław, Tadeusza Piórkowskiego, Bronisława Rudyka, Władysława
Walczaka - Kalisz, Olgierda Schaefera - prezesa Klubu Gross-Rosen,
Bogdana Wierzejewskiego - prezesa Koła Nr 1 ZBoWiD, Julii
Wroczyńskiej.

Projekt okładki : Włodzimierz Kern

SPIS TRESCI

	str
1. Od Redakcji	5
2. Andrzej Bartoszyński - Wspomnienia z Pawiaka 14-letniego więźnia	7
3. Kazimierz Kołakowski - Z Pawiaka do Gross-Rosen	14
4. Marian Sasin - Pawiak-Gross-Rosen-Dora-Nordhausen.....	17
5. Jerzy Tęśiorowski - Tragiczny transport -.....	19
6. Janusz Pękała - Gdy miałem 16 lat	22
7. Marian Karczewski - Czy można zapomnieć	25
8. Edward Mroczkowski - Wagony śmierci	32
9. Andrzej Bartoszyński - Ewakuacja	37
10. Antoni Wojnarowicz - Transport śmierci	43
11. Protokoły Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerows- kich z dnia 14 i 15 września 1945 roku, o ekshumacji więźniów spalonych w Skierniewicach	48
12. Wykaz więźniów z transportu 4 lipca 1944 roku	54
13. Wykaz więźniów z transportu 17 lipca 1944 roku	63
14. Wykaz więźniów z transportu 4 sierpnia 1944 roku	65



Projekt sfinansował Ministerstwo Kultury i Sztuki

Tak obecnie wygląda miejsce upamiętnione po byłym więzieniu
Pawiak. Mieści się tu muzeum martyrologii.

Nr archiwum Gross-Rosen 2.4.6.3.

OD REDAKCJI

W okupacyjnej Warszawie więzienie śledcze gestapo Pawiak, było miejscem znanym każdemu warszawiakowi. Tak jak w Krakowie każdy wiedział o Montelupich, w Lublinie o Zamku, a w każdym większym mieście w kraju były znane ich mieszkańcom miejsca tortur i straceń.

Główne budynki Pawiaka to więzienie męskie nazwane Pawiakiem i więzienie kobiece zwane Serbią.

Wieżenie to, wybudowane w 1831 roku przy ulicy Dzielnej, było miejscem tortur wielu pokoleń Polaków. W okresie okupacji więzienie to działało od października 1939 roku do 21 sierpnia 1944 roku / w tym dniu polecono wysadzić budynki w powietrze /.

Warunki przebywania w zatłoczonych celach były nieznośne, nie mówiąc już o innych szykanach i ciągłym zagrożeniu śmiercią. Do Pawiaka przywożono więźniów ze słynnej z okrucieństwa siedziby gestapo warszawskiego w Alei Szucha, gdzie też przywożono więźniów z Pawiaka na dalsze przesłuchiwanie w czasie śledztwa.

Pawiak dostarczał więźniów dla obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen, Auschwitz, Buchenwaldu, Majdanka, Stutthofu, Ravensbrück i od 1944 roku do Gross-Rosen.

Dnia 17 stycznia 1944 roku skierowano tam grupę około 50 osób, która otrzymała numerację od 16272 zaś w dniu 28 marca 1944 roku skierowano do Gross-Rosen 550 mężczyzn. W tej grupie znaleźli się księża selezjanie z Zakładu ks. Siemca na ulicy Lipowej, ojcowie misjonarze i księża franciszkanie z Kościoła Św. Krzyża. Ich numeracja rozpoczynała się od 23716 do 24000 i dalej od 26001.

Dnia 27 kwietnia tegoż roku odjechał następny transport około 65 osób. Nadano im numerację od 31831 do 31894.

Dnia 4 lipca 1944 roku wysłano do Gross-Rosen transport 500 więźniów. Część z nich została rostrzelana w obozie w dniu 14 i 17 lipca. Nadano im numerację powtórzoną między numerami 2600 do 3340.

Dnia 17 lipca odtransportowano znowu około 60 mężczyzn, którym w obozie nadano numery powtórzone od 6014 do 6088. W transporcie tym znajdował się znany pilot balonowy, zdobywca pierwszego miejsca w zawodach balonowych o puchar Gordon Benetta w latach 1933-34, kapitan WP Franciszek Hynek.

W dniu 30 lipca 1944 roku odszedł najbardziej tragiczny transport do Gross-Rosen. Był to ostatni ewakuacyjny transport więźniów z Pawiaka. Obejmował on 1400 osób. Część więźniów podusiła się w wagonach. Pierwszą grupę uduszonych spalono w wagonie na boczniczy stacji kolejowej w Skierniewicach dnia 31 lipca 1944 roku. Więźniowie ci przybyli do obozu dopiero 4 sierpnia i otrzymali numerację powtórzoną w przedziałach 11000 i 12000.

W zeszycie tym zamieszczamy niepełne wykazy więźniów trzech ostatnich transportów z lipca 1944 roku i kilka wspomnień więźniów o tych transportach, jak również dokumentację z eksumacji spalonych ciał w Skierniewicach.

Wielu więźniów Pawiaka, skierowanych do innych obozów koncentracyjnych drogą przerzutów transportowych trafiało również i do Gross-Rosen.

Będziemy wdzięczni za nadesłanie pod adresem Redakcji uwag uzupełniających.



Mauzoleum Al. Szucha. W dniu święta zmarłych wartę honorową pełnią harcerze przy urnach więźniów Mauthausen i Gross-Rosen

Na ścianie jednej z cel wydrapany przez nieznanego więźnia napis: "Łatwo jest mówić o Polsce, trudniej dla niej pracować, jeszcze trudniej umrzeć, a najtrudniej cierpieć"

Nr archiwum Gross-Rosen
2.5.7.3.

WSPOMNIENIA Z PAWIAKA 14-LETNIEGO WIĘŹNIA

Fragmety z książki "Nieletnim wstęp wzbroniony"
nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie 1980 rok

Otworzyłem zasuwę i nie zdążyłem jeszcze do końca przekręcić zatrasku zamka, gdy drzwi zostały brutalnie i gwałtownie pchnięte, a w nich ukazały się trzy, wymierzone prosto w nas, lufy rewolwerowe i trzy zacięte złowrogie twarze gestapowców, którzy przekrzykując się nawzajem wrzeszczeli: "Hände hoch". Zaschło w gardle, osłupielismy. W jednym momencie, kopiąc butami w drzwi, wdarli się do przedpokoju, wykrzykując: "Wo ist der Wróblewski"? Z kuchni nadbiegła mama, w pierwszym odruchu osłoniła nas przed impetem gestapowców, wołając: "To są przecież dzieci, co od nich chcecie". Rzucili się na nią, wrzeszcząc i popychając brutalnie lufami pistoletów, popędzili naszą mamę w głąb mieszkania.

Przy akompaniamencie wyzwisk i poszturchiwań zaczęła się szczegółowa, ale jakże brutalna rewizja całego mieszkania, rozpoczęta od pokoju mamy. Zrozumieliśmy, że jest rzeczywiście źle, skoro gestapowcy wymienili nazwisko "Wróblewski". Zapowiadano nam bowiem ciągle, że jeżeli ktokolwiek wypowie to nazwisko, naszym obowiązkiem jest odpowiedzieć, że taki tutaj nie mieszka i w ogóle takiego człowieka nie znamy. A więc bardzo poważna wyspa!

W ogólnym rozgardiaszu zostaliśmy przez chwilę sami. Gestapowcy wraz z mamą znajdowali się w głębi mieszkania. Korzystając z niespodziewanej okazji wpadłem do naszego pokoju i chwyciłem materiały przygotowane na wieczorną zbiórkę. Tymczasem brat przyniósł z pokoju Jana ukryte pod stołem jakieś notatki i gazetkę, widocznie musiał tam często penetrować i znał tajemnice, których nie zdążył mi jeszcze ujawnić. Szybko zanieśliśmy wszystko do ubikacji i wrzucili do muszli. Ale widocznie któryś z gestapowców musiał coś dostrzec, bo przybiegł z wrzaskiem i zaczął nas bić. Na rozpaczliwy protest mamy, która na chwilę wyrwała się spod "opieki" swoich oprawców, wepchał nas do kuchni i zamknął drzwi na klucz.

Przesiedzieliśmy tak prawie trzy godziny. Z głębi mieszkania dochodziły wrzaski Niemców, trzaskanie drzwiami, dzwonki, bieganie. Nie mieliśmy pojęcia, co tam się mogło dziać. Wszystko wydawało się niesamowite.

Późnym wieczorem 5 czerwca 1942 r., tuż przed jedenastą, zagrzytał niespodziewanie klucz w zamku. W drzwiach ukazał się gestapowiec w krótkiej skórzanej kurtce, w butach z cholewkami i czarnych bryczesach. W ręce trzymał pistolet: "Jest telefon - wydukał po polsku - masz powiedzieć, że mama miała wypadek, nie może wstać z łóżka i wzywa pomocy". Pobiegłem, a słysząc dzwonek telefonu porwałem słuchawkę. Natrętnie odzywał się nieznajomy głos jakiejś kobiety, która prosiła o rozmowę z naszą mamą. Przy uchu trzymałem słuchawkę telefoniczną, czując zimną

lufę pistoletu przytkniętą do skroni. Monotonnie powtarzałem nakazaną mi formułkę. Moja rozmówczyni początkowo zniecierpliwiona tym bezsensownym dialogiem domagała się nerwowo bliższych wyjaśnień, ale po chwili widocznie coś dotarło do jej świadomości, bo głos w telefonie zmiażdżył, stał się mniej natarczywy, potem powoli odłożyła słuchawkę.

Całe mieszkanie przedstawiało przerażająco smutny widok. Na podłodze leżały porozrzucane sterty papierów, gazet, książek wyrzucanych z szaf, szuflad, kawałki drewna z porozbijanych mebli. Wyglądało jak po szalejącym huraganie.

Dni mijały, wlokły się niemiłosiernie. Szczupłe zapasy domowe musiały zaspokoić głód, ale w tych pełnych napięcia chwilach nie myśleliśmy o jedzeniu. Swoboda nasza została bardzo ograniczona. Nie wolno nam było zanadto kręcić się po mieszkaniu, podchodzić do okien, ani nawet wyjść na balkon, żeby zaczerpnąć choć trochę świeżego powietrza. Rozmyślaliśmy o swym krótkim, kilkunastoletnim zaledwie życiu.

Wlokące się godziny przerywały, na szczęście coraz rzadziej powtarzające się, dzwonki do drzwi lub telefony. Szczególnie te dzwonki do drzwi napawały nas za każdym razem przerażeniem. Po każdym dzwonku Niemcy chowali się w przedpokoju za futryną tak, aby ich nie widziano z zewnątrz, ja z bratem natomiast, zgodnie z wymuszoną na nas rolą, musieliśmy otwierać drzwi i zapraszać przybysza do środka. Wtedy gestapowcy z odbezpieczonymi pistoletami natychmiast wyskakiwali z ukrycia wrzeszcząc: "Hände hoch". Rzucali się na zaskoczonego nieszczęśnika i rozpoczynała się rewizja osobista, przesłuchanie i konfrontacja. Porównywano następnie zeznanie przybysza z naszymi informacjami, a jeśli się coś nie zgadzało, następowało bicie po głowie i twarzy oraz pogróżki. Gdy dzwonił telefon, podchodziłem do aparatu z jednym z "opiekunów", który podsłuchiwał rozmowę i kazał mi powtarzać: "Mama jest ciężko chora, miała wypadek i prosi o niezwłoczne przybycie". Monotonnie powtarzałem tę samą odpowiedź na każde pytanie. Prawdopodobnie dawało to dużo do myślenia, skoro nikt z telefonujących na szczęście nie dał się zwabić. Ktokolwiek jednak nacisnął dzwonek do drzwi, a następnie przekroczył próg naszego mieszkania - przepadał. Czekala go wtedy tylko jedna droga - odesłanie na dalsze przesłuchanie na aleję Szucha, a następnie na Pawiak.

Nadal nie mieliśmy pojęcia, co dzieje się z mamą, i to było najgorszą udręką. Niestety dopiero teraz przekonaliśmy się, jak bardzo ją kochamy, jak źle nam bez niej, ile kłopotów i trosk jej przysparzaliśmy. Po rewizji została aresztowana, ale nie powiedziano nam, gdzie się znajduje. Nie wiedzieliśmy wówczas, że w piątek wieczorem aresztowani zostali również nasi koledzy, którzy przyszli na zbiórkę harcerską. Wyprowadzono ich, skutych w kajdany po dwóch, przez podwórko na ulicę do samochodów, na oczach matek i rodzin oraz przerażonych lokatorów.

Przebywając stale w mieszkaniu dwaj gestapowcy zmieniali się regularnie co osiem godzin. Samochód, dowożący ich, w drodze powrotnej zabierał aresztowanych u nas na aleję Szucha.

W czwartek, jedenastego czerwca, rano wszedł do pokoju, w którym spaliśmy, jeden z dyżurujących gestapowców i polecił mi, abym natychmiast się ubierał. Brat, chociaż starszy, był drobny i szczupły, dlatego chyba zostawili go w spokoju. Zerwałem

się z łóżka, pośpiesznie wrzuciłem spodenki i marynarkę i zapukałem do drzwi, za którymi przebywali "opiekunowie". Obok stołu pośrodku pokoju stało dwóch nie znanych mi Niemców w cywilnych ubraniach, jeden z nich, o wyglądzie urzędnika trzymał skórzaną teczkę pod pachą. Od razu na wstępie pświadczyli, że przyszli po mnie i że pójde zobaczyć się z mamą. W związku z tym mam zabrać ze sobą wszystkie pieniądze bądź kosztowności, bo mama o to prosi i mogą jej być potrzebne.

Gdy wyszliśmy na ulicę, już po kilku krokach byłem przekonany, że idziemy w stronę alei Szucha. Wynikało stąd niezbitie, że mama żyła i nie została rozstrzelana. Przebiegając wielokrotnie myślami wydarzenia ostatnich dni ani się nie spostrzegłem, jak znaleźliśmy się na miejscu. Przed bramą wejściową do gmachu gestapo stał w rozkroku wartownik z zawieszonym na szyi pistoletem maszynowym. Na hełmie i kołnierzu munduru widniały złowieszcze znaki SS. Minęliśmy go bez zatrzymania, widocznie znał doskonale moich "opiekunów", przeszliśmy podwórze i wkrótce znaleźliśmy się we wnętrzu budynku, o którym słyszało się w Warszawie tyle okropnych rzeczy. Czułem się coraz bardziej nieswojo. Zatrzymaliśmy się wreszcie przed drzwiami, które miały być prawdopodobnie celem mojej wędrówki. Konwojent wskazał ręką i weszliśmy do środka pokoju. Z nieufnością rozejrzałem się wokoło, nie było bowiem tutaj mojej mamy. Przy biurku siedział jakiś mężczyzna w mundurze, a obok, przy stoliku, maszynistka. Odniosłem wrażenie, że czekali na nasze przybycie.

Tłumacz oświadczył mi na wstępie, że wszystko jest już im dokładnie znane od moich kolegów, którzy wcale mnie nie oszczędzali, nie ma więc sensu niczemu zaprzeczać, bo może się to tylko źle skończyć. W dalszym ciągu nie mogłem skojarzyć, że koledzy moi są aresztowani. Wydawało mi się, że to, co on mówi, jest wierutnym kłamstwem i podstępem. Dlaczego i po co mieliby w końcu mnie wsypywać. Czytając akta referent rzucał groźbami, zadawał pytania, maszynistka równocześnie cały czas pisała. Pytania były rzeczywiście zaskakujące, ale dotyczyły tylko mojej osoby. Główny zarzut polegał na tym, że w naszym mieszkaniu odbywały się zbiórki harcerskie. Odnosiłem wrażenie, że chcą ode mnie potwierdzenia informacji, które w jakiś sposób zdobyli. Pocieszałem się, że nic nie wiedzą o naszych akcjach w mieście, o broni, o powielaczu ukrytym w maszynowni windy na strychu. Zastanowiło mnie, że nie pytają w ogóle o moich kolegów z podwórka, natomiast koniecznie chcieli się dowiedzieć, kto przychodził do nas spoza naszego domu. Na szczęście oprócz kilku uderzeń po głowie i twarzy obeszło się bez większego bicia, czego najbardziej się obawiałem. Ogarniało mnie przerażenie na myśl o torturach stosowanych przez gestapo, o których tyle słyszało się na wolności. Czy przetrzymam? Co ze mną będzie?

Gdy maszynistka przestała wystukiwać protokół, podsunęto mi do podpisania cały parostronicowy niemiecki tekst. Nie silono się nawet, aby mi go przetłumaczyć. Referent tylko krzyczał: "Schnell, schnell!!" Nie uświadamiałem sobie wtedy, jakie mogą być konsekwencje tego podpisu, że jest to po prostu przyznanie się do wszystkich stawianych zarzutów sformułowanych w protokole: pierwszy raz w życiu miałem zresztą do czynienia z urzędem w ogóle. Liczyłem, że może teraz, gdy skończyli i podpiszę, pójde zobaczyć się z mamą, miałem przecież dla niej pieniądze. Łu-

dziłem się również, że może mnie wypuszczą. Urzędnik przy biurku jakby odczytał moje myśli, bo zapytał, ile mam pieniędzy i polecił mi je oddać. Przeliczył, schował do szuflady, podniósł się z krzesła i dał znak, że mam pójść za nim. Już popołudniem wyszliśmy z pokoju. Przechodziliśmy znowu długimi krętymi korytarzami, a następnie schodami w dół. Wreszcie trafiliśmy do suterenu.

Tutaj było dziwnie niesamowicie. W wąskim korytarzu ujrzałem po prawej stronie zakratowane małe okna, a wzdłuż lewej ściany duże na całą ścianę kraty, w których znajdowały się wejścia do cel. Były to chyba trzy lub cztery sąsiadujące ze sobą cele, całkowicie odsłonięte od strony korytarza. Wewnątrz każdej z nich, pod bocznymi ścianami, stał rząd drewnianych krzeseł, na których siedzieli tyłem do korytarza zupełnie znieruchomieli, jakby zahipnotyzowani, ludzie. Był to szczególnie deprymujący, zagadkowy widok. Co z tymi ludźmi zrobili, że tak dziwnie się zachowują, zastanawiałem się. Za chwilę i mnie wprowadzono do jednej z takich cel. Krzeselka były bardzo niewygodne, siedziało się na cienkich, drewnianych sztachetkach, które wkrótce wpijały się w ciało nieznośnie. Nie wolno było się odwracać ani odzywać. Przede mną na białej ścianie wisiał napis: "Sptechen, rauchen streng verboten". Ciągłe coś działo się na korytarzu, dochodził gwar, odgłosy odliczania, jęki ludzi, krzyki gestapowców, wpijał się w uszy monotony rytmy wyczytywanych nazwisk, odgłosy bicia. Wszystko to było dla mnie tajemnicze i przerażające: niby sen lub okrutna bajka. Bez przerwy ktoś przechodził cicho korytarzem i obserwował siedzących w celach. Za najdrobniejsze przewinienie wyciągano na karne ćwiczenia i bicie.

Do celi, w której siedziałem już parę godzin, prawie że bez ruchu, wprowadzono i wyprowadzano poszczególnych ludzi, było ich coraz mniej, aż w końcu zorientowałem się, że zostałem sam. Zdawało mi się, że zapomniano o mnie. Chciało mi się jeść i pić, od rana nie miałem nic w ustach.

Było późne popołudnie, kiedy wyprowadzono mnie na podwórze. Stał tam samochód ciężarowy przykryty szarą brezentową plandeką, do połowy załadowany więźniami, którzy siedzieli na połączonych w poprzek deskach. Wepchnięto mnie do środka i za chwilę ruszyliśmy pod eskortą uzbrojonych gestapowców, którzy usadowieni na kłapie z tyłu samochodu nie spuszczały z nas oka. Jechaliśmy dobrze znanymi mi ulicami: Alejami, przez plac Trzech Krzyży, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem, Trębacką, Bielańską do bramy getta. Samochód przemykał dość szybko zatłoczonymi ulicami, jakby nie dotyczył go panujący ruch. Zatrzymaliśmy się wreszcie przed bramą Pawiaka. Otworzyły się ciężkie, żelazne, zgrzytliwe wrota; samochód wjechał do środka i stanął przed kamiennymi schodami, prowadzącymi do wejścia do budynku.

Po dokonaniu wstępnych formalności, które nie ciągnęły się zbyt długo, wprowadzono nas schodami do suterenu. Mijaliśmy po drodze rząd zakratowanych tajemniczych przejść. Wokół panował półmrok. Potem szliśmy długim, ciemnym korytarzem aż tam, gdzie korytarz się rozszerzał i tworzył wnękę. Było tu okno, które rozjaśniało trochę wnętrze. Kazano nam rozebrać się do naga. "Po co to robią - zastanawiałem się - czy teraz będą nas torturowali?" Okazało się, że chodzi o dokładne i szczegółowe przeszukanie całego ubrania i bielizny. Gdy ubrałem się, ostrzyżono mi włosy i

zaprowadzono do pustej, jednoosobowej celi. Drzwi się zatrzasnęły, zostałem sam, głodny, wystraszony i przemarznięty. "Skoro mi włosy ścięli, to chyba zostanę tu na dłużej" – pomyślałem zrezygnowany.

Switało, gdy zasnąłem, na krótko. Rano przyniesiono gorzką, ciepłą kawę i kawałek czarnego suchego chleba. Było to śniadanie. Zaraz po nim odprowadzono nas w małej grupce do łaźni, w podwórzu. Po powrocie na oddział skierowany zostałem do celi ogólnej. Dawniej była to cela pojedyncza, teraz mieściła sześciu więźniów, przybyłem jako siódmy.

Tutaj poczułem się znacznie lepiej, wreszcie mogłem porozmawiać i czegoś dowiedzieć się od ludzi, których spotkał taki sam los jak mnie. Okazało się, że znajdowałem się na Oddziale VII, gdzie wszyscy nowo aresztowani musieli przejść dwutygodniową kwarantannę. Po niej, w zależności od sprawy, przenoszono na właściwy oddział.

Roje skaczących pcheł atakowały tak zajadle i tak dokuczliwie, że nie sposób było przed nimi się obronić. A i cienki, wytarty, bawełniany koc nie chronił przed porannym chłodem. W tych warunkach nawet normalnie twardy, chłopiący sen, który zawsze o tej porze bywał najsmaczniejszy, nie rokował długiego trwania. Obudzony wracałem do rzeczywistości niechętnie, ze wstrętem i żalem, bo niestety tylko sen pozwalał na oderwanie się od miejsca, w którym od kilku dni się znajdowałem. Przez małe, otwarte, kwadratowe okienko, umieszczone tuż pod sufitem, wpadało świeże, chłodne, poranne powietrze.

Prawdopodobnie zapowiadał się piękny czerwcowy dzień. Za grubą, żelazną kratą osadzoną w oknie widać było szary mur. Bliski, zasłaniał cały widok, nie pozwalając dojrzeć nawet najdrobniejszego skrawka nieba. Co pewien czas poranną ciszę przerywały kroki wartownika, przechodzącego po podwórzu, i wtedy na moment ukazywały się w okienku czarne cholewy jego butów.

Leżeliśmy rzędem obok siebie na rozłożonych na podłodze siennikach, a wokół panowała kompletna cisza. Moi współtowarzysze, tak jak i ja zaledwie przed paru dniami zabrani z wolności, w dalszym ciągu drzemali. Trudno było ustalić godzinę, bo nikt z nas nie miał zegarka, zabierano je podczas drobiazgowej rewizji osobistej, ale wyglądało na to, że lada chwila rozlegnie się wysoki, donośny dźwięk gongu na pobudkę. I w tym momencie wszystko wokół ożyje. Rozpocznie się gorączkowa krzątania, układanie sienników przy ścianie tuż pod oknem, błyskawiczne sprzątanie i porządkowanie ciasnej, mrocznej celi, by na śpiewne wołanie korytarzowego: "Siódmy oddział apel" – ustawić się w równym szeregu tuż pod drzwiami. Gdy w chwilę potem z łoskotem podnoszonych żelaznych rygli i suchym szczękiem nie oliwionego zamka otworzą się drzwi i stanie w nich złowrogi wahmajster, wtedy jeden z nas, najbardziej biegły w języku niemieckim, wyrecytuje jednym tchem formułkę apelu: "Achtung, melde gehorsam, Zelle Zweihundertfündsechzig belegt mit sieben Häftlingen, alle anwesend". Odetchniemy z ulgą, jeżeli wachmajster przejdzie dalej do sąsiedniej celi i nie przyczepi się rozmyślnie do przypadkowej słomki z siennika leżącej na podłodze, a przeoczonej przy sprzątaniu, lub jakiegokolwiek innej błahostki. Będziemy spokojniejsi, że udało się na razie uniknąć karnych ćwiczeń lub innych wyszukanych represji. Potem, gdy umilkną odgłosy porannych

raportów, nastąpi wypuszczanie do "obróbki". Dwóch wyznaczonych dyżurnych złapie ciężki, blaszany, śmierzący lizolem kibel i wybiegniemy popędzani okrzykami i szturchańcami na korytarz. Każdą celę wypuszczano z osobna, by uniemożliwić wszelkie wzajemne porozumiewanie się i jakiegokolwiek kontakty. Wszystko to potrwa zaledwie kilka minut wśród nieustających okrzyków korytarzowych. Czasu jest bardzo niewiele, w błyskawicznym więc tempie należy załatwić swoje potrzeby i biegiem wracać do celi.

Wkrótce ucichnie wrzawa "obróbki" i nastąpi śniadanie: pod drzwi przyniosą blaszany kocioł z kawą i worek z chlebem. Każdy otrzyma pół litra wstrętnej, gorzkiej lury i małą pajdkę czarnego, lepkiego jak glina chleba, który musi jako główne pożywienie wystarczyć do dnia następnego. Na zakończenie porannego rytuału odbędzie się wywoływanie z cel, według listy ustalonej przez gestapo, na przesłuchanie. Przeprowadzano je na alei Szucha, a wyczytanych więźniów przewożono tam specjalną ciężarówką pod eskortą uzbrojonych wachmajstrów. W napięciu i z niemałą emocją wyczekiowano, na kogo padnie tego dnia zły los.

Tak rozpoczynały się moje pierwsze dni pobytu na Pawiaku. I gdyby ktokolwiek wtedy mi powiedział, że dni takich będzie wiele, bardzo wiele, bo zamkną się okresem prawie trzech lat, to nigdy bym wówczas nie uwierzył, że będę w stanie przez tak długi okres w tym beznadziejnym świecie nieustannego lęku, śmierci i zagłady przetrwać. Pierwsze dni od następnych tylko tym się różniły, że zamiast wywoływania na przesłuchanie powszechnym zwyczajem stało się wybieranie "spod celi" w transport do obozu koncentracyjnego lub na rozstrzelanie.

Wszystko naokoło było tu dla mnie ohydne, wstrętne i okrutne. Ponure, ciemne, odrapane cele i korytarze, złowrogie twarze wachmanów, w ich rękach skórzane długie i grube pejcze, z którymi zazwyczaj się nie rozstawali, zbici i zmaltretowani ludzie przywożeni z przesłuchań, a wreszcie przeraźliwe krzyki i jęki katowanych ofiar – to tło dnia codziennego. Leżąc rozmyślałem o tym wszystkim, co mnie spotkało tak nagle i nieoczekiwanie, i ciągle jeszcze nie mogłem pojąć, czy to naprawdę rzeczywistość, czy tylko jakiś męczący, koszmarny sen. Bezustannie gnębiło mnie pytanie, jak doszło do tego, że gestapowcy wkroczyli do naszego mieszkania, skąd wszystko tak dokładnie wiedzieli, kto wpadł jeszcze w ich ręce, co teraz dzieje się z mamą i co w końcu będzie z nami dalej.

Moi współtowarzysze z celi pocieszali mnie co prawda, że la-da dzień na pewno zostanę zwolniony, że przecież jestem jeszcze za mały, jest więc niemożliwe, abym mógł być traktowany na równi z dorosłymi, i znalazłem się tutaj raczej chwilowo, przez przypadek. Dodawało mi trochę nadziei, że oni chyba rzeczywiście wierzyli w to, co mówili, bo starali się wbijać mi w pamięć swoje adresy z pełną wiarą, że zaraz po wyjściu zawiadomię rodziny o ich losie. Jednak mnie osobiście niepokoiły groźby, jakie przed przybyciem na Pawiak słyszałem pod swoim adresem na alei Szucha, i w miarę upływu dni coraz bardziej obawiałem się, aby nie zostały potraktowane serio. Wymyślano mi tam: "Wy, harcerze, uczniowie, jesteście najgorsi, nie ma na was sposobu, was po prostu trzeba zniszczyć, jesteście plagą, którą musimy wytępić". I chyba rzeczywiście dla nich byliśmy plagą, bo po prostu wychowano nas w szkole, w domu i na zbiórkach harcerskich tak, że wszy-

stko co polskie było dla nas najważniejsze i święte, a okupant niemiecki znienawidzonym i podłym wrogiem. Zabrał nam niepodległość, którą Polska odzyskała po wielu latach niewoli, a tej niepodległości nie można było stracić. Odpowiedzialność za utrzymanie jej spadła właśnie na nasze pokolenie. Taki był sposób naszego myślenia, wszelkie represje okupanta wywoływały skutek wprost przeciwny. Niemcy w brutalny i bezwzględny sposób zniszczyli nam wszystko, co kochaliśmy, do czego byliśmy przywiązani, nasze normalne życie, rozbili nasze domy i rodziny.

Ostatnie miesiące w wolnej Polsce - mimo groźby wojny - jakże były w porównaniu z teraźniejszością bez troskie i szczęśliwe. Wakacje spędzałem wraz z mamą i bratem w Jastarni. Kto by wtedy przypuszczał, że Niemcy w ogóle będą w Warszawie, tak przecież wszyscy wierzyli w naszych sojuszników. Koniec sierpnia 1939 roku zastał nas już w domu, ponieważ wojna poważnie zagrażała, ojciec sprowadził nas wcześniej z wakacji do Warszawy. Chyba wiedział, co nas czeka, bo chodził zdenerwowany, przygnębiony i bardzo zajęty. Stale odbierał jakieś służbowe telefony, wracał późnymi wieczorami lub w ogóle nie nocował w domu. Matce wydawał różne polecenia, jakby miał się rozstać z nami na bardzo długo. Jako oficer wyższej rangi prawdopodobnie orientował się w sytuacji. Mnie wydawało się to bardzo dziwne, nie rozumiałem, o co chodzi, byłem przekonany, że w razie wybuchu wojny nasze wojska będą wkrótce w Berlinie. Z podnieceniem więc ja i moi rówieśnicy oczekiwaliśmy wojny, chociaż niepokój starszych częściej i nam się udzielał. Były to ostatnie dni normalnego życia. Mieliśmy dom, rodziców, ich obecność gwarantowała nam spokój, bezpieczeństwo i opiekę.



Po zburzeniu Pawiaka ocalało drzewo. Niemy świadek tamtych czasów. Z prawej strony na tle nieba widoczny zwis fragmentu bramy wjazdowej na Pawiak. Powracający z obozów więźniowie Pawiaka, oraz wdowy i sieroty pamiętają o zamordowanych składając kwiaty wokół drzewa.

Nr archiwum Gross-Rosen 2.4.1.5.

Z PAWIAKA DO GROSS-ROSEN

Wywieziono mnie wraz z kolegami: Błońskim L., Kurczyńskim, Zarachowiczami T. i M., Fedewiczami, Łowieckim i wielu innymi z warszawskiego więzienia na Pawiaku 4 lipca 1944 r. Byłem bardzo osłabiony po biciu podczas śledztwa w "kapliczce" Pawiaka. Dzień był bardzo upalny. Powiązano nam ręce z tyłu i wywieziono na dworzec, gdzie ładowano nas do wagonów bydłowych, oczywiście nie rozwiązując rąk. Do wagonów wchodziło nas po 90-100 osób. Nie wiedzieliśmy gdzie nas wiozą, część się domyślała, wymieniając różne nazwy obozów, lecz nikt nie wiedział konkretnie. Po dwóch dniach dojechaliśmy do Gross-Rosen.

Dzień był upalny, słońce niemiłosiernie piekło. Ręce mdlały od krępujących więzów, byliśmy spragnieni nie dano nam ani kropli wody. Po wyładunku z wagonów rozwiązano nam więzy i ustawiono w kolumny i popędzono do obozu. Na drodze były kałuże wody po deszczu, który widocznie tutaj padał. Co chwila któryś z kolegów schylał się aby nabrać trochę błota w chusteczkę, a następnie wysysając przez nią odrobiny wody zwilżał spieczone wargi.

Przed bramą wejściową do obozu rozległy się głośnie nawoływania: "Mützen ab". Nie każdy zrozumiał o co chodziło i biedny był ten, kto w pobliżu esesmana przechodził przez bramę w czapce.

Zaprowadzili nas przed blok, musieliśmy zostawić paczki jakie kto miał ze sobą z "Pawiaka", rozebrać się do naga kładąc oddzielnie spodnie, oddzielnie marynarki oraz buty. Następnie musieliśmy przejść obok stołów gdzie ustalano nasze personalia i sprawdzano czy który z nas nie posiada czego ukrytego. Przede mną jeden z kolegów nie zdjął medalika na łańcuszku z szyi, biedny otrzymał za to najpierw kilka uderzeń w twarz, a następnie skopano go do nieprzytomności. Po tym przeglądzie popędzono nas do łaźni, przed wejściem każdy z nas musiał być ostrzyżony i wygolony przez czekających w przedsionku fryzjerów obozowych. Przez środek ostrzyżonej maszynką głowy fryzjer wygolił mi brzytwą pas szerokości 2 1/2 do 3 cm. Po goleniu trzeba się było wysmarować jakimś płynem z beczki, po którym niemiłosiernie całe ciało szczypało. Po tym zabiegu pognali nas pod prysznice z wodą gorącą i zimną na przemian.

Po kąpieli wygoniono nas z łaźni drugimi drzwiami, gdzie w korytarzu były już przygotowane dla nas ubrania-pasiaki i bielezna.

Zaprowadzono nas na blok 9 na tak zwaną kwarantannę, gdzie ścisk był okropny, leżeliśmy na podłodze, słysząc co chwila odgłosy silnych uderzeń. To blokowy ze swym pomocnikiem, przechodząc między nami bijąc po twarzach leżących, a słabych z wycieńczenia kopał nogą gdzie popadło.

Codziennie apele, stanie całymi godzinami na deszczu, słońcu lub upale, praca przy kopaniu dołów, a przy pracy mało kogo ominęły razy kijów kapa.

Na jednym z apeli staliśmy np. 3 godziny, słońce niemiłosiernie dopiekało, wyczytywano kilkakrotnie nasze numery obozowe po niemiecku, my z kolei musieliśmy się odzywać również po niemiecku. Nie każdy pamiętał po niemiecku swój numer, a kto się nie odezwał, natychmiast po wyczytaniu jego numeru dostawał kilka silnych uderzeń w twarz. Dobrze jeśli to wytrzymał i nie przewrócił się po uderzeniach, bo jeśli się przewrócił to blokowy kopał go nogą gdzie popadnie, brzuch, głowa czy plecy. Obok mnie stał Tadeusz Zarachowicz. Po 2 godzinach stania Tadek przewrócił się porażony słońcem. Gdy razem z kolegą chcieliśmy go podnieść, zostaliśmy pobici przez kapo i musieliśmy go zostawić na ziemi. Leżał tak jeszcze przez całą godzinę do końca apelu. Po skończonym apelu zanieśliśmy go do rewiru. Po kilku dniach moich najlepszych przyjaciół: Błonskiego i Zarachowicza wywieziono gdzieś na komando.

Po miesiącu i mnie wywieziono na komando do Landeshut, gdzie spotkałem się ze swymi przyjaciółmi. Pracowałem w fabryce Werk 2 przy szlifowaniu łożysk. Kilku więźniów zdecydowało się na ucieczkę. Nie udało się jednak, złapano jednego z uciekających i ten z kolei miał wskazać innych, którzy chcieli z nim uciekać. Błonski był z nim w kontakcie - bardzo to przeżył. Jednak nie został ujawniony. W tym czasie przywieziono drugiego z uciekających, którego psy poszarpały na strzępy. Nieszczęsny uciekinier został powieszony a my wszyscy musieliśmy przyglądać się egzekucji.

Gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia cały nasz blok był bez bielizny tylko w samych pasiakach, bo bieliznę zabrali do pralni nie dając innej. Tymczasem na rozkaz Lagerfuhrera cały obóz musiał zebrać się wokół choinki na placu, która w przeddzień była ustrojona lampkami. Wygłosił on przemowę o Bożym Narodzeniu i zwycięstwie Niemiec. Trwało to bardzo długo a każdy z nas trząsał się z zimna; takie to były nasze święta obozowe.

Po kilku miesiącach pobytu w Landeshut zorientowaliśmy się, że front się zbliża. Wymonotowywano maszyny z fabryk, a nas pędzono do kopania rowów przeciwczołgowych. Przy pracy tej kapowie znęcali się niemiłosiernie za byle co, wystarczyło odprostować się od kilofa czy łopaty, aby chwilę odpocząć, a jeśli esesman lub kapo zobaczył już kije były w robocie. Najczęściej kapo zdejmował trzonek z łopaty i 20 lub 30 razy dostawał nim przestępca, który chwilę odpoczął.

Jednego dnia nie wróciłem z pracy o własnych siłach, przywieziono mnie nieprzytomnego, wraz z wielu innymi, na wozie ciągniętym przez kolegów. Dostałem się na rewir. Codziennie odwiedzali mnie koledzy na przemian Michał i Lucjan przynosząc miskę zupy lub kawałek chleba.

Rewir nie był wypoczynkiem dla chorych, choć nic się tu nie robiło, był on wykańczalnią. Codziennie rano razem z całym obozem trzeba było wstać, przejść do umywalni, w zimnej jak lód wodzie umyć się a następnie Lagerfuhrer chodził i przeliczał wszystkich, po przeliczeniu śniadanie i po śniadaniu odszawianie. Każdy musiał siedzieć na łóżku przeszukując w bieliźnie wszy. Nie wolno było nikomu się położyć, chyba że już nie wstał, co się bardzo często zdarzało. Tak trwało do obiadu i po obiedzie do wieczora. Wieczorem siadał jeden z "odwszawiaczy" z silną żarówką i sprawdzał każdemu bieliznę. Za każdą znalezioną wesz właściwiec bielizny otrzymywał 1 uderzenie batem w siedzenie. A z regu-

ły było ich 15, 20 a i 30 i tyleż otrzymywało się batów. Można było bowiem najlepiej przeszukać bieliznę, a wystarczyło położyć ją na kocach, którymi przykrywaliśmy się na noc i już było ich pełno.

Po 2 tygodniach wyszedłem z rewiru jako muzulman, ledwie powłócząc nogami. Na szczęście zastępcą starszego obozu Kowalski zaopiekował się mną, nie puszczając do prac przy rowach, tylko zatrudnił mnie przy grabieniu rabatów przed blokami.

Po kilku tygodniach wobec zbliżania się Rosjan obóz nasz został ewakuowany. Pozostali jednak chorzy na rewirze. Jednak ewakuacja nie udała się, ponieważ wszystkie drogi były już zajęte i zawrócono nas do obozu.

8 maja wieczorem wszystkich kapów i blokowych Lagarulteste zwołał do siebie i wszyscy gdzieś wyjechali.

Nad ranem 9 maja wyglądamy przez okna z bloków, nie ma światła na zewnątrz i wokół obozu. W jednej chwili wybiegli wszyscy z bloków pod bramę, kuchnię i magazyny. Błoński skombinował 2 bochenki chleba. W nieopisanym krzyku wybiegamy na miasto jak opętani, nie wierząc rzeczywistości. Na ulicach miasta pokazują się radzieckie czołgi. Byliśmy uratowani.

Nie wierzę w to, aby ktokolwiek z ludzi, którzy siedzieli w obozach chcieli wojny. Niechby mieli najgorzej, to jednak zawsze będą największymi wrogami wojny i faszyzmu bo wojna i faszyzm na własnej skórze odczuliśmy.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.8.

PAWIAK - GROSS-ROSEN, DORA-NORDHAUSEN

Dnia 23 maja 1944 roku przyjechało gestapo do Marek i aresztowali mnie i pięciu innych. Okropnie nas zbili, załadowali do samochodu i wywieźli do Brwinowa. Kilkanaście dni przebywaliśmy w kotłowni. Tam znowu byliśmy bici, przeważnie po nerkach. Później odstawiono nas do gestapo w Alei Szucha i na Pawiak.

Warunki były okropne. Co noc cele się otwierały. Wyprowadzano ludzi na rozstrzelanie.

Nas przeznaczono na transport. 4 lipca powiązano nam ręce do tyłu i wyprowadzono na podwórko. Po kilku godzinach stania przyjechały samochody, do których nas zagnano. Trudno jest wsiadać do samochodu, gdy ma się związane do tyłu ręce. Jeden drugiemu pomagał, wpychając ramieniem. Następnie załadowano nas do wagonów. W wagonie moim było nas około 70 więźniów. Pozamykane były okienka i zabite deskami. Gdy dojeżdżaliśmy do Łodzi, kilku więźniów próbowało ucieczki. Zorganizowano pościg z psami. Uciekinierów zastrzelono na miejscu. W Łodzi do naszego wagonu doładowano jeszcze ze 20 więźniów. Było bardzo duszno. W drodze do Gross-Rosen dwóch więźniów zmarło z uduszenia.

W obozie mnie jako specjalistę od wentylatorów i wirników zatrudniono w komando Siemens. Tam pracowaliśmy na zmiany nocną i dzienną po 12 godzin. Kolegów bez zawodu popędzono do kamieniołomów, gdzie musieli nosić kamienie na ramionach do obozu. Gdy upuścili kamień z ręki lub im spadł z ramion byli bici przeważnie w żołądek. Jeśli któremu spadły z nóg drewniaki musiał iść boso na skrwawionych i pokaleczonych nogach. Byłem przymusowym świadkiem wieszania na szubienicy. Wszyscy więźniowie musieli się przyglądać tej egzekucji.

Gdy zbiegło dwóch więźniów z kamieniołomów, to zabito ich na miejscu złapania. Zwłoki ich przywieziono do obozu i powieszono. Wszystkie bloki musiały przemaszerować przed nimi.

Pewnego razu przyszedł duży transport z powstania warszawskiego. Więźniom kazano się rozebrać i tak ich trzymano całą noc na dworze. Kobiety i dzieci gdzieś z obozu wywieziono.

Do obozu przyjeżdżali tak zwani "kupcy". Wybierali oni czasami po 1000 ludzi i wywozili ich. Więźniowie nie wracali już żywi, tylko samochody przywoziły ich trupy do spalenia w piecu. Komin krematorium dzień i noc kopcił.

Na widok esesmana trzeba było zdjąć czapkę na 5 metrów przed nim. Ja zrobiłem to raz za blisko to mnie tak skopał, że dwa tygodnie koledzy prowadzili mnie do pracy.

Kiedy na apelu blokowy wyczytał numer więźnia, że ma się zgłosić na "szreibsztube" to już wiadomo było, że ten człowiek pójdzie do pieca.

Gdy w dniu 6 lutego 1945 roku ogłoszono nam, aby niezdolni do marszu wystąpili, wystąpiłem z szeregu bo nie miałem już siły chodzić. Było nas dużo. Zamknęli nas w blokach i gdzieś oko-



ko 8 lutego w nocy wyprowadzili przed blok i trzymali w pasiakach na mrozie do rana. Rano dali nam mały kawałek chleba i pogнали na dworzec kolejowy. Po drodze widziałem w rowach dużo więźniów zabitych.

Załadowano nas w odkryte wagony towarowe i tak nas wieźli 4 dni i nocę. W naszym wagonie zmarło 10 kolegów z głodu i zima.

Zawieźli nas do Dory. Obstawili wagony esesmanami i kazali wysiadać. Rampy nie było, więc z wysoka trzeba było skakać, a kto się przewrócił został zabity. Po czterech trzymaliśmy się za ręce, aby się nie przewrócić. Chyba z połowę nas wybili. W Dorze na apelplacu staliśmy od rana do wieczora. Nago do łaźni, a później ze 200 metrów do bloku po bieliznę i ubranie, które założyliśmy mokre. Po takim przyjęciu po kilku dniach wykończyło się wielu ludzi z naszego transportu. Po kilku dniach wypędzono nas na roboty. Z lasu woziliśmy drzewo. Jak już opadłem z sił, pozbierali dużo takich muzułmanów i wysłali nas do Nordhausen na wymarcie. Umieszczono nas tu w pustym pomieszczeniu magazynowym. Leżeliśmy na podłodze betonowej i dostawaliśmy raz dziennie kawałek chleba i pół litra melzupy. Niektórzy pili z głodu wodę, lecz po tej wodzie puchły im nogi i umierali na biegunkę. Tak przez dwa tygodnie zmarło na jednym naszym bloku około 500 kolegów. A ilu zmarło w innych blokach, któż to policzy.

Z Marek do Gross-Rosen trafili również Sasin Czesław, Zygmunt Kaniewski, Hieronim Wiśniewski, Stanisław Dzik /ojciec/, Stanisław Dzik /syn/, Kołakowski Witold i Franciszek Mislinze - wszyscy już tam zostali na zawsze.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.24.

TRAGICZNY TRANSPORT

Od kilku dni odczuwało się na Pawiaku dziwne podniesienie wśród więźniów. Nie rozmawiano o niczym innym, jak o zbliżającej się Armii Czerwonej. Poczta pantoflowa podawała o wyzwoleniu Lublina, Mińska, Garwolina i innych pobliskich Warszawy osiedli. W nocy coraz wyraźniej słychać było pomruk sowieckiej i niemieckiej artylerii, nie dającej nocą spokojnie zasnąć. Towarzyszyła nam niepewność co do losów jakie może nam zgotować gestapo. Jedni przewidywali najgorsze, rozstrzelanie więźniów, bardziej optymistycznie nastawieni, wierzyli w wyzwolenie przez nadciągające wojska radzieckie.

Wiadomości docierające do cel były bardzo skąpe, ponieważ po ostatniej nieudanej próbie odbicia więźniów siłami z zewnątrz stosunki w więzieniu psuły się z każdym dniem. Znikome wiadomości docierały jedynie z izby chorych od dr. Feliksa Lotha i dr. Czuperskiej, wieloletnich więźniów Pawiaka.

20 lipca 1944 roku wypędzono więźniów V oddziału na korytarz. Z odgłosów dochodzących z dołu, domyślaliśmy się, że podobnie dzieje się na wszystkich oddziałach. Sprawdzano wszystkich więźniów. Po przeglądzie nie było już wątpliwości, że czeka nasz transport, tylko dokąd i kiedy?

W niedzielę obudzono wszystkich w nocy. Zezwolono zabrać jedynie czapki i płaszcze. Na korytarzu wiązano nas drutem po czterech i tak sprowadzano na dziedziniec więzienia. Na dole czekały już do wymarszu więźniowie z niżej położonych oddziałów. Cały Pawiak roił się od uzbrojonych gestapowców i ukraińców, pełniących straż na Pawiaku. Powiązanych drutem więźniów przez ulice zburzonego getta pędzono na rampę kolejową przy ul. Stawki. Tam czekały już wagony towarowe, środek naszego transportu.

Do miejsca załadunku towarzyszyły nam wrzaski i strzały eskortujących. Mijaliśmy miejsca gdzie w wyniku egzekucji ginęli nasi współtowarzysze walki i więziennych cierpień. Myśmy narazie tego losu ominęli. Kiedy na miejsce dotarła nasza kolumna, okazało się że pięć wagonów było już wypełnionych. Do szóstego wciśnięto około 150 więźniów. Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy z okropności czekających nas w transporcie. Nie sprzyjała nam również upalna pogoda. Dziękowaliśmy Bogu, że opuściliśmy z życiem Pawiak. Spędzane na rampie kolumny, zamykały kobiety.

Przed odjazdem, zamknięto nie tylko wszystkie drzwi ale pozabijano również wszystkie otwory w wagonach. Od pierwszych chwil jazdy, coraz bardziej odczuwaliśmy brak powietrza. Ludzie zaczęli się dusić a ze wszystkich wagonów rozlegał się przeraźliwy krzyk: powietrza, powietrza. Na te wołania eskorta odpowiedziała strzałami po wagonach. Padli pierwsi zabici i ranni. Krzyki nie ustały. Za dworcem Gdańskim jakimś cudem z sąsiedniego wagonu wydostał się więzień. Strzały przerwały jego mękę. Polscy kolejarze słysząc wołania więźniów, starali się zlewać wagony wodą. Na dworcu Gdańskim transport stał kilka godzin. W wagonach rozgorzała walka o podejście chociażby do najmniejszej szparki. Więźniowie darli ubrania i

bieliznę. Niektórzy próbowali popełnić samobójstwo. Coraz częściej w wagonach słychać było jęki konających.

Po dwóch dniach jazdy w smrodzie i zaduchu, bez powietrza, wody i żywności pociąg zatrzymano na bezludziu celem usunięcia z wagonów trupów. Było już ich wielu.

Otwarcie wagonów ukazało widok okropny. Ludzi byli pół przytomni. Wszyscy jak nie żywi padli w rowy przy torach wdychając świeże powietrze, wolne od smrodu rozkładających się ciał pomordowanych. Ciała ofiar zostały przeniesione do odrębnych wagonów. Z braku sił każde ciało przenosiło kilku więźniów, raczej nie przenosiło, a ciągnęło po torach. Po ukończeniu tych czynności, znów przy wrzasku i strzałach zamknięto nas w wagonach. Kolejny postój nastąpił na stacji Żyrardów. Teraz łaskawie otworzono drzwi i zezwolono ludności na podanie wody i żywności. Tu doznaliśmy nie tylko ofiarności, ale i bohaterstwa mieszkańców miasta. Wieśćo transporcie więźniów przebiegała w tym mieście lotem błyskawicy. Ludzie pędzili by pomóc i pożegnać więźniów. Tu też dowiedzieliśmy się, że w Warszawie trwają walki powstańcze.

Po około dwóch godzinach ruszyliśmy w dalszą drogę. Eskortą transportu została wzmocniona. Obawiano się aby nie dokonano próby odbicia więźniów.

Na stacji w Łowiczu, a było to we wtorek, próbowali dokonać samosądu żołnierze niemieccy, przewożeni pociągiem sanitarnym. Był to pociąg wiozący rannych z ewakuowanych szpitali.

W Skierniewicach odczepiono wagony z trupami. Przetoczono je na boczne tory i podpalono. Po odjeździe transportu prochy pogrzebano obok torów. Dokonana po wojnie ekshumacja wykazała że było tych ofiar około 180.

W środę rano dotarliśmy do Łodzi. Nad ranem przeszła nad Łodzią ulewa, która była dla nas zbawieniem. Oczyszczyła ona duszne i smrodliwe powietrze w wagonach. Tu podano nam po kawałku chleba i po odrobinie wody. Podczas trwającego deszczu ruszyliśmy w dalszą podróż przez Kalisz, Głogów, Legnicę.

W czwartek wieczorem przyjechaliśmy do małej stacji Gross-Rosen, gdzie oczekiwało nas kilkudziesięciu SS-manów.

Było już ciemno, kiedy w otoczeniu naszej eskorty i licznej grupy nowych "opiekunów" trzymając się pod rękę, ruszyliśmy przez niewielką miejscowość ku obozowi.

Każdy z nas miał różne uczucie. Z jednej strony radość, że skończyła się piekielna podróż, z drugiej obawa przed czekającą nas przyszłością.

Po przebyciu części drogi ukazały się pierwsze zwiastuny hitlerowskiej kaźni. Był to miejscowy kamieniołom, w którym tysiące więźniów znalazło śmierć.

Mijaliśmy też schludne baraki, zamieszkałe przez SS-mańską załogę obozu.

Po przejściu "wspaniałej" betonowej bramy znaleźliśmy się na oświetlonym reflektorami placu obozowym.

Wejście do obozu obserwowała liczba grupa obozowych funkcyjnych z opaskami na rękawach: "Capo", "Blockälteste", "Lagerälteste". Z wież zbudowanych wokół obozu obserwowali nas strażnicy.

Zwolna oczy przyzwyczały się do światła reflektorów. Dostrzegaliśmy rozstawione stoły a przy każdym siedzących więźniów w pasiakach. Przyjmowaniu transportu towarzyszyły wrzaski i bicie, stały ceremoniał w obozie.

Przy pierwszym stole mieliśmy zdać resztki pożywienia. Przy następnym spisano nasze personalia. W następnym miejscu odebrano wszystko co jeszcze posiadaliśmy.

Czynności przyjęcia do obozu nie pominęły również rewizje nagusów. Miała ona zapobiec przemyceniu przedmiotów wartościowych. Jeśli znaleziono cokolwiek, nie obeszło się bez różnego rodzaju epitatów i bicia.

Kolejną udrękę stanowiła tzw. "kąpiel". Polegała ona na zmoczeniu ciała raz zimną a następnie gorącą wodą. Na szczęście trwała ona krótko. Była "profilaktyczna" bo czasu na nią nie było, tak jak nie było mydła ani ręczników. Nie mniejszą udręką były czynności wykonywane przez obozowych fryzjerów. Ciało kaleczone było tępymi brzytwami. Dla cuganga nikt nie miał litości.

Po kąpeli znaleźliśmy się w obozowym baraku. Był to barak nr 17, mieszczący się po lewej stronie od bramy. Tu wyposażono nas w obozowe ubrania, bieliznę i obuwie. Tu poznaliśmy też fakt, że nie mamy nazwisk a staliśmy się numerami.

Nad ranem transport nasz liczący około 1000 osób niczym nie różnił się od pozostałych więźniów obozu. Marzenie o nocnym odpoczynku okazało się również iluzją.

1000 nowych heftlingów, tak jak napływali z łaźni układano na podłodze jeden obok drugiego, w dwóch salach podobnych do siebie. Było tak ciasno, że o zmianie położenia nie mogło być mowy. Jeśli tzw. Stubendiest /salowy/ ujrzał gdziekolwiek kawałek wolnego miejsca, z krzykiem i drewnianą pałką, układał czekającego na miejsce więźnia. Przy tej czynności skakał po ciałach leżących.

Mniej więcej po godzinie od ułożenia postanowiłem wyjść za potrzebą fizjologiczną. Na boso nogi założyłem drewniane trepy i możliwie najciszej skierowałem się ku pomieszczeniu, przeznaczonemu na te czynności. Na nieszczęście natknąłem się na wszechwładnego funkcyjnego, pełniącego nocny dyżur. Przyjął mnie stekiem wyzwisk i biciem. Wyjaśniał mi przy tym, że chodzenie po nocy przeszkadza w śnie jego kamratom. O ironio - jego wrzaski ich nie budziły, tylko mój cichy marsz. Zrezygnowałem z załatwienia swej potrzeby.

O 5-tej rano zbudzono nas z krzykiem /a raczej poderwano z miejsca leżenia/. Oczekiwaliśmy na pierwszy nasz apel w obozie. Po apelu, kiedy kolumny więźniów wyruszyły do pracy, myśmy przystąpili do porządkowania swych ubrań i przyszywania naszych więźniarskich oznak. Na lewej piersi marynarki i prawej nogawce spodni przyszyłem swój numer. Miałem numer 11764.

Wieczorem, około godz. 18⁰⁰, odbył się apel wieczorny. Nas na apel wyprowadzono dużo wcześniej. Mogliśmy obserwować powracające na apel kolumny z miejsc pracy. Kolumny szły jedna za drugą, w jednej bardziej w innej mniej zmęczeni więźniowie. Na końcu niektórych niesiono więźniów nie zdolnych już do marszu bądź już nie żyjących. Ten widok nie nastrojał nas optymistycznie.

W trzecim dniu "pobytu" w obozie wyznaczony zostałem wraz z wieloma innymi więźniami do transportu. Mieliśmy tworzyć nowy podobóz Pampitz /koło Brzegu/ i tam dla potrzeb hitlerowskiej Luftwaffe zbudować wojskowe lotnisko. Rankiem ruszyliśmy w drogę. Kolumnę liczącą około 100 więźniów, w tym większość z transportu pawiaczkiego, już za bramą obozową otoczyli żołnierze Luftwaffe. Załadowano nas na dworcu, na który przybyliśmy przed kilku dniami. Obóz w Pampitz stanowił nowy rozdział w mojej więźniarskiej historii.

GDY MIAŁEM 16 LAT

Mieszkałem wówczas w Warszawie i mimo 16 lat byłem członkiem ruchu oporu, 5 Pułku Ułanów AK Oddziału "Borka". Aresztowany zostałem 3 maja 1944 roku podczas rzucania gazów łzawiących na kino i lokal gastronomiczny na Żoliborzu. Po skuciu mnie w kajdanki zostałem przewieziony na komisariat żandarmerii przy ul. Bonifraterskiej, a następnie na gestapo przy Szucha. Poznałem na własnej skórze czym były tzw. "tramwaje". Następnie więziono mnie na Pawiaku, skąd dowożono mnie "budą" na przesłuchanie do gestapo.

W dniu 30 lub 29 lipca 1944 r. załadowano mnie do wagonu towarowego wraz z około stu więźniami. Bez jedzenia i picia. Już w trzecim dniu transportu pociąg zatrzymano w polu i tylko z naszego wagonu wydano około 30 zmarłych. Piątego dnia dotarliśmy do stacji kolejowej Gross-Rosen. Czekali na nas esesmani z psami. Drogę do obozu odbyliśmy pieszo. Wielu podczas marszu padało z wyczerpania, ci którzy nie mogli się już podnieść byli rozstrzeliwani. Esesmani bili nas kolbami karabinów zmuszając do szybszego marszu. Napotykanii chłopci niemieccy patrzyli na nas wrogo, kobiety pluły, a młodzi chłopcy odziani w mundury Hitlerjugend obrzucali nas kamieniami, esesmani zachęcali ich uśmiechami. Po kąpiel przy akompaniamencie bicia i poniewierania wydano nam obozowe ubrania i nadano mi numer obozowy 12243 P w czerwonym trójkącie. Odtąd byłem już tylko numerem.

Skierowano mnie na blok 17 dla "cugangów", gdzie przez szereg dni od rana do nocy uczono nas musztry i śpiewu, skakania "żabką" uczono meldować się.

Po "przeszkoleniu" skierowano mnie do pracy w kamieniołomie. Idąc pierwszego dnia do pracy cieszyłem się, że teraz po tym piekle nic gorszego nie może mnie już spotkać. Przenosiliśmy ogromne głazy granitu, ociągających się kapowie okładali kijami.

Po jakimś czasie przeniesiono mnie na blok nr 6. Umieszczono mnie w skrzydle A, gdzie sztabowym był Polak imieniem Marian władający doskonale językiem niemieckim. On to w pierwszym dniu zbił mnie do utraty przytomności pod pretekstem, że źle posłałem pryczę. Uderzał w twarz kilkakrotnie, a później znienacka łokciem bił w żołądek. Po takim uderzeniu każdy więzień padał na ziemię wówczas kopał go do utraty przytomności, zemdłonego kazał polewać zimną wodą. Po takiej "lekcji" więzień często szedł na rewir lub wkrótce umierał śmiercią "naturalną" na bloku. Częstym pretekstem do znęcania się nad więźniami były brudne nogi. W okresie letnim pracowaliśmy w kamieniołomach boso. Odpryski granitu kaleczyły nogi, a że nie było opatrunków rany szybko ropiały i czerniały. Bez wysokiej gorączki na rewir nie można się było dostać, natomiast opatrunków więźniowie bali się, ponieważ byli tam bici za to, że celowo kaleczą się, żeby się uchylić od pracy. Na bloku zaś bito za to, że nogi są niedomyte. Często ropowice nóg na skutek bicia, kopania lub deptania po ranach jątrzyły się i były powodem do zabicia więźnia.

Blokowym był niezwykle drań narodowości ukraińskiej. Na bloku 6 przebywało zawsze kilkuset więźniów. Blok podzielony był na skrzydła A i B. Spaliśmy po dwóch, trzech na pryczach, pryczy były trzypiętrowe, jak w innych blokach, rygor taki sam. Warunki sanitarne żadne. Były trzy lub cztery sedesy na cały blok, dwa koryta betonowe do mycia. Na mycie i porządkowanie mieliśmy tylko pół godziny. Blockführerzy bykowcami i kijami ponaglali przy myciu i wszystkich czynnościach. Na apele stawaliśmy pod gołym niebem bez względu na pogodę i porę roku. Głęboko utkwiał mi w pamięci jeden z apeli, kiedy brakowało któregoś więźnia. Już późną nocą zdrzemnąłem się na stojąco i poruszyłem w szeregu. Esesman to zauważył i z całej siły uderzył mnie w piersi kolbą karabinu. Upadłem na ziemię i straciłem przytomność. Koledzy podnieśli mnie i trzymali pod ręce. Po apelu odnieśli mnie na blok. Mimo to nie zostałem przyjęty na rewir chociaż miałem połamane żebra. Na bloku brakowało dla wszystkich misek.

Przebywając na bloku 6 utkwiał mi w pamięci następujący wypadek. Spałem na jednej pryczy z dwoma kolegami. Jednego dnia zginął w kamieniołomie jeden z nas, nazwiska już nie pamiętam. Pozostałem na pryczy tylko z kolegą o imieniu Tadek. Chorował on na gruźlicę płuc. Męczył go kaszel i krwotoki, nie mógł już nawet jeść. Nad ranem obudziłem się bo Tadek tak jakoś zsunął się na mnie. Poruszam go, a on nic. Wreszcie stwierdziłem, że on już nie żyje. Miał na szyi przywiązaną wieczorną pajdkę chleba. Przy poruszaniu namacałem, że ma jeszcze chleb. Nie mogłem się wstrzymać, głód był silniejszy i zjadłem tę pajdkę chleba nieboszczykowi. Przed wyjściem do pracy odnieśliśmy go do Waschraum, gdzie zwykle składano zwłoki.

Będąc na bloku 7 pracowałem w komandzie Verbererei obok krematorium obozowego. Było to komando dość względne jak na warunki Gross-Rosen, gdyż pracowaliśmy pod dachem i nie musieliśmy chodzić na apele. Była to jednak praca bardzo szkodliwa dla zdrowia, pracowaliśmy w kurzu, nie było wentylacji. Pracując na Werbererei często byłem zatrudniany przy rozładowywaniu i układaniu w stosy zwłok przywożonych z różnych podobozów. Jesienią 1944 r. nagromadzone były wielkie ilości zwłok, gdyż krematorium pracujące dniem i nocą nie było w stanie spalić wszystkich. Często zwłoki przywożono nocą. Więźniowie szli na "wolność" przez "komin", czyli "nach himmelkomando". Nie była to praca tak ciężka jak w kamieniołomach, gdyż więźniowie nie byli ciężcy, bo wychudzeni do ostatnich granic - skóra i kości.

Na piersiach zmarłych wypisane były numery obozowe więźniów. Palaczem w krematorium w tym czasie był jeniec wojenny krępej budowy, nazwiska nie zapamiętałem. Obok krematorium była tzw. "ściana śmierci", gdzie rozstrzeliwali więźniów. Nieprzyjemny, słodkawym swąd spalanych zwłok rozprzestrzeniał się po obozie, dawał się szczególnie we znaki w dni bezwietrzne na bloku dla małoletnich, usytuowanym blisko krematorium.

Szczególnego wstrząsu doznałem kiedy po powstaniu warszawskim zobaczyłem transport, a wśród więźniów moich najbliższych: ojna, Stanisława, matkę Stefanię i starszego brata Zbigniewa, lat 18. Matkę po dwóch dniach odtransportowano do Ravensbrück, ojca i brata na bloku 9.

Pod koniec pierwszej dekady lutego 1945 roku zostałem ewakuowany, ewakuowano także rewir. Więźniowie chorzy i wycieńczeni pa-

dali w drodze do stacji kolejowej, gdzie ładowano nas na wagony. Kto nie był w stanie podnieść się i maszerować lub nie pomogli mu współwięźniowie był dobijany przez esesmanów konwojujących nas. Ostra zima dawała się szczególnie we znaki i wielu zmarzło na śmierć. Transport trwał przez pięć dni na otwartych węglarkach bez jedzenia i picia. Na stacji w Plauen transport rozdzielono na dwie części. Zmarłych i umierających wyrzucano z wagonów. Żywych jeszcze w ilości około 90 ułożono twarzami do peronu i rozstrzelano. Na węglarkach ładowano nas po około 100 osób. Panował ciągły ruch, żeby nie zamrznąć na śmierć. Staraliśmy się stale zmieniać tych, którzy byli z brzegu i czoła wagonu. Mimo to wielu zmarzło na śmierć, wielu odmroziło nogi i ręce, uszy i głowy. Ja dostałem się wraz z orkiestrą obozową do Leitmeritz. Na stacji w Litomierzycach około połowa już nie żyła. Zmarłych zabrano na samochody, nas pędzono pieszo. W Leitmeritz panował niesamowity brud i głód. Załoga esesmańska była szczególnie brutalna. Bito na każdym kroku bez żadnego powodu, ot tak dla wyżycia się, a może i zagłuszenia wyrzutów sumienia i strachu, że już niedługo będzie z nimi koniec. Początkiem kwietnia 1945 r. kiedy już goniłem resztkami sił dzięki dr. Różyckiemu dostałem się na rewir. Nagle zarządzono nową ewakuację, która nie trwała już długo. Esesmani porzucili nas w drodze, uciekając przed frontem. Byłem na granicy życia i śmierci. Wyniszczony głodem i gruźlicą ledwo trzymałem się na nogach, ale świadomość, że to już koniec tego piekła pozwoliła mi przeżyć. Skierowany zostałem do sanatorium PCK w Otwocku, gdzie poddano mnie intensywnemu leczeniu.



Janusz Pekała pisał ostatni list z Gross-Rosen w dniu 1 stycznia 1945 r. W tym noworocznym liście zawiadamia, że następny list wolno mu napisać za dwa miesiące. Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.31